

MARGINESY

NAZYWAM
SIĘ

moja historia

CHANEL
MILLER

Know My Name

COPYRIGHT © 2019 BY Chanel Miller

Published by agreement with Sterling Lord Literistic, USA
& Book/lab Literary Agency, Poland

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kamila Sławinski
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2021

Mamie, tacie i Tiffy



Wstęp

To, że zamiast „wezwanie sądowe” napisałam „wyzwanie”, może świadczyć, że mam kiepskie kwalifikacje, by opowiadać tę historię. Ale dokumentacja sądowa jest już powszechnie dostępna, wszystkie doniesienia prasowe są w internecie. To, co tu piszę, nie jest prawdą ostateczną; to moja wersja, opowiedziana najlepiej, jak potrafię. Jeśli chcecie spojrzeć na to wszystko z mojej perspektywy, dowiedzieć się, co widziałam i słyszałam, co czułam, jak to było ukrywać się w łazience podczas procesu – mogę wam opowiedzieć. Dam, co mogę; weźmiecie z tego, co zechcecie.

W styczniu dwa tysiące piętnastego roku miałam dwadzieścia dwa lata, mieszkałam i pracowałam w rodzinnym Palo Alto w Kalifornii. Poszłam na imprezę na Stanfordzie. Na terenie uniwersytetu padłam ofiarą napaści seksualnej. Widziało to dwóch świadków, powstrzymali napastnika, uratowali mnie. Moje dawne życie się skończyło, a zaczęło nowe. Nadano mi nowe imię i nazwisko: Emily Doe, które miały mi zapewnić anonimowość.

W tej opowieści będę określać adwokata sprawcy „obroną”, a sędziego – „sędzią”. Są tu po to, żeby pokazać, jakie odegrali role. To nie jest osobisty akt oskarżenia, odwet, wpis na czarną listę ani reinterpretacja. Wierzę, że wszyscy jesteśmy wielowymiarowymi postaciami, w sądzie zaś bolesne było dla mnie to, jak zostałam spłaszczona, sprowadzona do przymiotników, mylnie oceniona, oczerniona, dlatego chcę oszczędzić innym podobnego doświadczenia. Będę wspominać

Brocka z imienia, ale równie dobrze mógłby nazywać się Brad, Brody czy Benson, to bez znaczenia. Liczą się nie jednostki, ale to, jak powszechnie spotyka się takie osoby, jak dzięki nim utrzymuje się niewydolny system. Ta opowieść to próba przełamania bólu, który noszę w sobie, konfrontacji z przeszłością, znalezienia sposobu, by jakoś żyć z tymi wspomnieniami i uczynić je częścią mojej historii. Chcę zostawić je za sobą, aby móc iść dalej. Nie nazywając ich, mogę nareszcie nazwać siebie.

Mam na imię Chanel.

Jestem ofiarą, nie boję się tego słowa – ale lęk budzi myśl, że nie jestem nikim więcej. Nie jestem jednak ofiarą Brocka Turnera. W żaden sposób do niego nie należę. Jestem także w połowie Chiną, noszę chińskie nazwisko: Zhang Xiao Xia, które tłumaczy się jako „Małe Lato”. Nazwano mnie tak, bo urodziłam się w lipcu.

Xia to nazwisko pierwszej chińskiej dynastii królewskiej.

Byłam pierwszym dzieckiem.

„Xia” brzmi jak „sza”.

Chanel.

Definicja gwałtu wedle FBI obejmuje każdy rodzaj penetracji. Ale w Kalifornii gwałt to wyłącznie stosunek seksualny. Przez długi czas wzbraniałam się przed nazwaniem Brocka gwałtciелеm, bo bałam się, że zostanę poprawiona. Definicja prawna ma znaczenie. Moja także. Wypełnił rękami otwór w moim ciele. Nie uważam, by nie zasługiwał na to określenie tylko dlatego, że nie miał czasu zrobić więcej.

Najsmutniejsze w takich przypadkach – poza samym popełnieniem przestępstwa – jest to, że ofiara zaczyna wierzyć, że wszystkie upokarzające opinie na jej temat są prawdziwe. Mam nadzieję, że uda mi się zwalczyć to przekonanie. Piszę „jej”, ale niezależnie, czy ktoś jest mężczyzną, osobą transpłciową lub niebinarną, bez względu na to, jak ktoś się określa i istnieje w świecie, kimkolwiek są osoby, które doświadczyły przemocy seksualnej – chcę stanąć w ich obronie. Dziękuję także wszystkim, którzy dzień po dniu pomagali mi się podźwignąć z ciemności.

*Jeśli człowiek zna swoje imię, powinien się go trzymać, bo ono zginie razem z nim, chyba że zostanie w jakiś sposób zapisane i zapamiętane.**

– Toni Morrison

Na początku byłam tak młoda i tak obca samej sobie, że ledwie co istniałam. Musiałam wyjść w świat i zobaczyć go, usłyszeć, wejść w interakcję z nim, zanim dowiedziałam się, kim jestem, czym jestem, czym pragnę się stać.

– Mary Oliver, *Upstream*

Naszym obowiązkiem jest mieć znaczenie.

– Alexander Chee

* Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz.

JESTEM NIEŚMIAŁA. Gdy w podstawówce robiliśmy przedstawienie o safari, wszyscy inni grali w nim zwierzęta. Ja byłam trawą. Nigdy nie zadałam pytania na sali wykładowej. Na zajęciach wuefu ukrywałam się w kącie. Przepraszam, kiedy ktoś mnie potrąci. Przyjmuję wszystkie ulotki, które wciskają mi na ulicy.

Zawsze odstawiam w sklepie wózek tam, skąd go wzięłam. Jeśli w kawiarni okaże się, że w dzbanku zostało za mało śmietanki, piję kawę bez niej. Jeśli u kogoś nocuję, rano koce będą wyglądać tak, jakby ich nie ruszano.

Nigdy nie urządziłam przyjęcia urodzinowego. Zanim poproszę, żeby włączyć ogrzewanie, włożę trzy swetry. Nie przeszkadza mi, jeśli przegrywam w gry planszowe. Pospiesznie wsypuję drobne do torebki, żeby nie blokować kolejki do kasy. Jako dziewczynka marzyłam o tym, że gdy dorosnę, zostanę maskotką na festynach, wtedy mogłabym tańczyć i nie zostałabym rozpoznana.

Jako jedyna w podstawówce byłam przez dwa lata z rządu wybierana na mediatorkę konfliktów; miałam na każdej przerwie nosić zieloną kamizelkę i patrolować plac zabaw. Jeśli gdzieś zdarzyła się sprzeczka, której nie dawało się rozwiązać polubownie, byłam wzywana i udzielałam rad w kwestii komunikowania w pierwszej osobie, jak na przykład: „czuję się..., kiedy ty...”. Raz przyszła do mnie dziewczynka z przedszkola i powiedziała, że dzieci mogą się huścić na huśtawce z opony przez dziesięć sekund, ale kiedy ona się huści, odliczają: „raz kot, dwa kot, trzy kot”, za to kiedy huścąją się chłopcy, odliczają „raz hipopotam, dwa

hipopotam, trzy hipopotam” – więc ich rundy są dłuższe. Zarządziłam, że od teraz wszyscy mają odliczać: „raz tygrys, dwa tygrys”. Przez całe życie odliczałam w tygrysach.

Przedstawiam się tutaj, bo w historii, którą zaraz opowiem, występuję bez nazwiska, bez tożsamości. Nie przysługują mi żadne cechy charakteru. Znalaziono mnie jako półnagie ciało, samotne, nieprzytomne. Żadnego portfela, żadnych dokumentów. Wezwano policję, obudzono dziekana Stanfordu w nadziei, że mnie rozpozna; świadkowie rozpytywali tu i tam – nikt nie wiedział, czyja jestem, kim jestem, skąd się wzięłam.

Pamięć podpowiada mi tyle: w sobotę siedemnastego stycznia dwa tysiące piętnastego roku mieszkałam w domu rodzinnym w Palo Alto. Moja młodsza siostra Tiffany, studentka trzeciego roku Politechniki Kalifornijskiej, jechała przez trzy godziny wybrzeżem z południa stanu, żeby spędzić z nami długi weekend*. Gdy zjawiała się w domu, zwykle spędzała czas ze znajomymi, ale niekiedy poświęcała mi go trochę. Późnym popołudniem wpadłyśmy po jej przyjaciółkę Julię, studentkę Stanfordu, i pojechałyśmy we trzy do rezerwatu Arastradero Preserve, żeby popatrzeć, jak żółtko zachodzącego słońca rozlewa się ponad wzgórzami. Ściemniało się, zatrzymałyśmy się przy meksykańskiej budce z tacos. Przeprowadziłyśmy burzliwą dyskusję na temat tego, jak sypiają gołębie, spierałyśmy się, czy większość ludzi składa papier toaletowy w kwadracik (ja) czy po prostu mnie go w rękę (Tiffany). Julia i Tiffany wspomniały, że wieczorem jest impreza w domu męskiego bractwa Kappa Alpha na kampusie Stanfordu. Nie słuchałam zbyt uważnie, byłam zajęta nalewaniem zielonej salsy do małego plastikowego kubeczka.

Później tego samego wieczora tata ugotował brokuły z komosą ryżową; oburzyłyśmy się, kiedy powiedział, że to „komasa”. „Tato, mówi się komOsa, nie komAsa, jak możesz tego nie wiedzieć!” Jedliśmy

* Blisko tej daty przypada co roku Martin Luther King Jr. Day, który jest w USA dniem wolnym od pracy w państwowych instytucjach i w szkołach (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

z papierowych talerzyków, żeby nie musieć zmywać naczyń. Przy-
szły dwie inne koleżanki Tiffany, Colleen i Trea, z butelką szampana.
Planowały we trzy iść na Stanford i tam spotkać się z Julią. „Powin-
naś pójść z nami”. Zastanawiałam się: iść czy nie iść? Czy to będzie
dziwaczne, jeśli pójde? Byłabym tam najstarsza. Opłukałam się pod
prysznicem, podśpiewując. Rozgrzebałam zwinięte w kulki skarpetki
w poszukiwaniu majtek, znalazłam w kącie już noszone – trójkącik
materiału w groszki. Włożyłam obcisłą ciemnoszarą sukienkę. Do tego
ciężki srebrny naszyjnik z małutkimi czerwonymi kamyczkami. Na to
beżowy kardigan z dużymi brązowymi guzikami. Snurowałam glany
w kolorze kawowym, siedząc na dywanie, z wciąż mokrymi włosami
związanymi w kok.

W kuchni mamy tapetę w żółto-niebieskie paski. Na ścianach wi-
szą stary zegar i drewniane szafki; framuga drzwi została naznaczo-
na pomiarami wzrostu (przy niektórych kreskach narysowano bucik,
jeśli mierzono nas w obuwiu). W szafkach, które po kolei otwierałyśmy
i zamykałyśmy, nie znalazłyśmy niczego poza whisky; w lodówce, do
pomieszczenia z alkoholem, tylko mleko sojowe albo sok z limonki. Je-
dyne kieliszki były pamiątkami z rodzinnych wakacji – „Las Vegas,
Maui” – w dzieciństwie używałyśmy ich jako kubeczków dla pluszo-
wych zwierzątek. Piłam czystą whisky bez wyrzutów sumienia, śmiało,
tak jakbym mówiła: jasne, przyjdę na bar micwę twojego kuzyna, ale
pod warunkiem, że będę nawalona.

Poprosiłyśmy mamę, żeby zawiozła nas na Stanford, siedem minut
drogi w dół Foothill Expressway. Stanford traktowałyśmy jak nasze
podwórko, stanowił część społeczności, wylegarnię tanich korepety-
torów, których rodzice zatrudniali na przestrzeni lat. Wychowałam
się na tym kampusie, chodziłam tam na obozy letnie pod namiotami,
które rozbijaliśmy na tamtejszych trawnikach, wymyślałam się z uni-
wersyteckich stołówek z kieszeniami pełnymi kawałków smażonego
kurczaka, jadałam kolacje z profesorami, których dzieci należały do
grona bliskich przyjaciół. Mama wysadziła nas obok uniwersyteckiej
księgarni, gdzie w deszczowe dni chodziłyśmy na gorące kakao i mag-
dalenki.

Szliśmy przez pięć minut, w dół, pochyłym chodnikiem, do dużego domu, który stał pod sosnami. Jakiś facet z górną wargą naznaczoną maleńkimi przecinkami zarostu wpuścił nas do środka. W kuchence bractwa znalazłam dystrybutor napojów i soków i zaczęłam przyciskać guziki, żeby przygotować napój bezalkoholowy, który reklamowałam jako sok borówkowy. „Dla panienki sok z borrr-borrr-borrrówek, *voilà!* K-A, K-A, *all day*”. Zaczęli się schodzić ludzie. Zgasły światła.

Stałyśmy za stołem przy drzwiach wejściowych, jak komitet powitalny, i rozkładając ramiona, śpiewałyśmy „witajcie, witajcie, witajcie!”. Przyglądałam się wchodzącym dziewczynom, które kuliły się, wciskając głowy w ramiona, uśmiechały się nieśmiało, rozglądały za jakimś znajomymi twarzami, do których można by przyłgnąć. Znałam ten widok, znałam to uczucie. Gdy studiowałam, bractwo stanowiło ekskluzywne królestwo, gwarne i pełne energii, gdzie młodszy schodzili z drogi, a władza należała do dużych samców. Odkąd skończyłam studia, powietrze wydawało mi się tu kwaśne, o zapachu drożdży; stąpając, słyszało się odgłos podeszew, które odklejały się od lepkiej podłogi; poncz smakował jak rozpuszczalnik, a brzegi misek klozetowych oblepiały czarne kręcone włoski. Odkryłyśmy na stole wielką plastikową butlę z wódką. Tuliłam ją w ramionach, jakbym znalazła wodę na pustyni. Zdrówko. Nalałam wódkę do kubka i wychyliłam jednym haustem. Wszyscy tańczyli na stołach, objali się o siebie, kiwali jak pingwiny. Stałam samotnie na krześle, z ramionami w gorze niczym pijany pęd wodorostu, dopóki siostra nie ściągnęła mnie na dół. Wyszłyśmy na zewnątrz, żeby wysikać się w krzakach. Zaczęłyśmy z Julią improwizowany rap. Rapowałam o suchej skórze, aż utknęłam, nie mogłam znaleźć rymu do „cetaphil”.

W piwnicy panował tłok, ludzie wysypywali się stamtąd w krąg światła na betonowym dziedzińcu. Stałyśmy koło kilku niewysokich białych chłopaków z czapkami włożonymi tył na przód, by nie narażać karków na poparzenie słoneczne, mimo że znajdowali się w nocy w zamkniętym pomieszczeniu. Popijałam letnie piwo; powiedziałam, że smakuje jak siki, oddałam je siostrze. Nudziłam się, czułam się rozluźniona, pijana i kompletnie wykończona, ledwie dziesięć minut drogi

od domu. Wyrosłam z wszystkiego, co mnie otaczało. Tu wspomnienie się kończy, zapada ciemność, film się urywa.

Do dziś twierdzę, że nic, co robiłam tamtego wieczora, nie ma znaczenia – ot, garść niepotrzebnych wspomnień. Ale wszystko to będzie walcowane i przewracane na dziesiątą stronę, i znów, i jeszcze raz – pokrojone, pomierzone, policzone, poddane pod rozagę opinii publicznej. Tylko dlatego, że gdzieś na tej imprezie jest on.

Światło raziło. Mrużąc oczy, zobaczyłam brązowe plamy zaschniętej krwi na grzbietach dłoni. Opatrunek na prawej ręce już się odklejał, plaster się nie trzymał. Zastanawiałam się, jak długo tu jestem. Leżałam na wąskim łóżku z plastikowymi poręczami po obydwu stronach, w kojcu dla dorosłych. Ściana biała, podłoga lśniąca. Coś strasznie piło mnie w łokieć, biała taśma zawiązana za ciasno, ciało ramienia wylewało się spod niej. Próbowалам wepchnąć pod nią palec, ale nie dałam rady, okazał się za gruby. Spojrzałam w lewo. Wpatrywało się we mnie dwóch mężczyzn. Jeden starszy, czarnoskóry, w czerwonej kurtce z logo Stanfordu; drugi biały w czarnym policyjnym mundurze. Straciłam ostrość widzenia i zamienili się w kwadraty, czerwony i czarny, oparte o ścianę, z ramionami splecionymi z tyłu, jakby stali tak już dobrą chwilę. Na nowo skupiłam wzrok. Obydwaj mieli takie miny jak ja, kiedy przyglądam się starszej osobie, która schodzi po schodach: pełne napięcia, jakby w każdej chwili spodziewali się upadku.

Policjant zapytał, czy dobrze się czuję. Gdy pochylał się nade mną, jego spojrzenie nie złagodniało, oczy nie zmrużyły się w uśmiechu – pozostały kompletnie nieruchome jak dwie sadzawki. Pomyślałam: „Tak, dobrze, a co, nie powinnam?”. Rozglądałam się dokoła w poszukiwaniu siostry. Mężczyzna w czerwonym przedstawił się jako dziekan Stanfordu. „Jak się pani nazywa?” Ich skupienie budziło niepokój. Zastanawiałam się, czemu nie spytali siostry, musi gdzieś tu być. „Nie jestem studentką, przyszedłam tylko z wizytą – powiedziałam. – Mam na imię Chanel”.

Jak długo drzemałam? Musiałam za bardzo się upić i padłam jak najbliżej, żeby to przespać. Czołgałam się? Dlaczego mam poranione dłonie? Kto mnie poskładał do kupy przy użyciu tego byle jakiego zestawu pierwszej pomocy? Może wkurzyło ich, że muszą się zajmować kolejnym pijanym dzieciakiem. Naprawdę wstyd, za stara jestem na takie rzeczy. Tak czy inaczej, uwolnię ich od siebie, pójdę już, podziękuję tylko, że położyli mnie na pryczy. Obrzuciłam sałę wzrokiem, zastanawiając się, gdzie są drzwi.

Zapytali, czy mam do kogo zadzwonić, żeby powiedzieć, że tu jestem. Tu, czyli gdzie? Dałam im numer siostry, po czym patrzyłam, jak ten w czerwonej kurtce się oddala, żebym nie mogła go słyszeć, zabierając ze sobą głos siostry do innego pokoju. Gdzie mój telefon? Zaczęłam się obmacywać w nadziei, że wyczuję twardy prostokąt. Nic. Zrugłam samą siebie za zgubienie go, będzie trzeba wrócić i poszukać.

– Jest pani w szpitalu. Mamy powód, by podejrzewać, że padła pani ofiarą napaści seksualnej – powiedział policjant.

Powoli pokiwałam głową. Jaki poważny człowiek! Musiał się mylić, na imprezie z nikim nie rozmawiałam.

Czy chcę, żeby mnie wypisali? A co, nie mam dość lat, by sama się wypisać? Wyobrażałam sobie, że ktoś się zjawi i powie: „Panie władzo, ta pani może już iść”, a ja zsalutuję i odmaszeruję. Miałam ochotę na chleb i ser.

Poczułam silny skurcz w trzewiach, chciało mi się siku. Poprosiłam o pozwolenie na skorzystanie z toalety, na co usłyszałam, że mam poczekać, bo mogą potrzebować próbki moczu. „Czemu?”, pomyślałam. Leżałam cichutko, zaciskając pęcherz. W końcu pozwolono mi iść. Gdy się podniosłam, zauważyłam, że szara sukienka zrolowała się wokół talii, wyglądała jak obwarzanek. Miałam na sobie miętowozielone spodnie. Zastanawiałam się, skąd się wzięły, kto zawiązał troczki na kokardkę. Zakłopotana podreptałam do łazienki, z uczuciem ulgi, że już mi się nie przyglądają. Zamknęłam drzwi.

Z na wpół przymkniętymi powiekami opuściłam nowe spodnie, zamierzałam zdjąć majtki. Kciuki otarły się o uda, prześlizgnęły po skórze, nie napotykając nic więcej. Dziwne. Powtórzyłam gest. Roz-

płaszczylałam dłonie na udach, pocierałam o nie, jakby od tego majtki miały się zmaterializować – tarłam i tarłam, aż poczułam gorąco, aż dłonie zamarły. Nie spojrzałam w dół, stałam tak tylko, w półprzysiadzie, jak skamieniała. Skrzyżowałam ręce na brzuchu, na wprost schylona, kompletnie znieruchomiła, niezdolna ani usiąść, ani wstać, ze spodniami wokół kostek.

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego jedne ocalały tak dobrze rozumieją inne.

Dlaczego, mimo że szczegóły ataku się różnią, osoby, które przeżyły, potrafią po prostu popatrzeć sobie w oczy i wiedzieć, bez żadnych wyjaśnień. Może to, co mamy wspólnego, to nie sam atak i jego przebieg, ale to, co dzieje się potem; pierwszy moment, gdy zostajemy same. Coś ci się wymyka. Dokąd poszłam. Co mi zabrano. To przerażenie przełykane w ciszy. Nagłe odpięcie się od świata, gdzie góra jest na górze, a dół na dole. To nie ból, nie histeria, nie płacz. Wnętrznosci zmieniają się po prostu w zimne kamienie. Totalna dezorientacja w parze z wiedzą, co zaszło. Luksus powolnego dorastania znika na zawsze. Tak się zaczyna brutalne przebudzenie.

Opadłam na deskę klozetową. Coś mnie kłuło w szyję. Pomacałam tył głowy, poczułam coś szorstkiego w plątaniu włosów. Na moment wyszłam na zewnątrz, może coś spadło na mnie z drzew? Czułam, że wszystko jest złe, a jednak w głębi mnie panował lodowaty spokój. Cichy ciemny ocean, płaski i rozległy. Czułam grozę, czułam, jak porusza się wewnątrz, wilgotna, ponura, ciężka, ale po powierzchni przebiegła zaledwie drobna fala. Panika przybędzie jak ryba, przez moment przedrze się na powierzchnię, zamigoce w powietrzu, ale zaraz zniknie w głębinie, wszystko znów zastygnie w bezruchu. Nie mogłam pojąć, jak znalazłam się w sterylnym pomieszczeniu z jedną toaletą, bez majtek, sama. Nie zapytałam policjanta, czy nie wie czasem, gdzie się podziały moje majtki, bo jakaś część mnie wiedziała, że nie byłam jeszcze gotowa, by usłyszeć odpowiedź.

W głowie błysnęło słowo „nożyczki”. Policjant użył nożyczek, by przeciąć majtki, bo na bieliźnie są pochwowe... bakterie pochwowe, które mogą zostać użyte do testów, na wszelki wypadek. Widziałam

w telewizji, jak sanitariusze przecinają ubranie. Wstałam, zauważyłam brud na podłodze. Wygładziłam spodnie, zawiązałam troczki na kokardkę. Przy zlewie zawahałam się niepewna, czy wolno mi zmyć krew. Zanurzyłam więc końce palców w wąskim strumieniu, woda dotykała wnętrza dłoni, ale ciemne plamy na ich grzbietach zostały nienaruszone.

Wróciłam równie spokojna jak wcześniej, z uprzejmym uśmiechem, i ułożyłam się na legowisku. Dziekan powiedział, że poinformowano moją siostrę, gdzie jestem, po czym wręczył mi wizytówkę.

– Proszę się odezwać, jeśli kiedykolwiek będzie pani czegoś potrzebowała – powiedział i odszedł.

Zatrzymałam wizytówkę. Policjant poinformował mnie, że budynek SART będzie otwarty dopiero rano. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale zrozumiałam tyle, że lepiej, jeśli z powrotem zasnę. Położyłam się na plecach, ale wydawało się to jakies dziwne i zimne: nas dwoje, w ostrym świetle. Czułam wdzięczność, że nie jestem sama, ale wolałabym, żeby policjant coś czytał albo przeszedł się do automatu z napojami i chipsami. Nie mogłam spać, gdy ktoś mi się przyglądał.

Zjawiała się pielęgniarka, spojrzała na mnie i natychmiast zapytała policjanta:

– Dlaczego nikt nie dał jej koca?

Policjant odpowiedział, że założono mi spodnie.

– Ależ proszę przynieść jej koc! Leży tak odkryta!

Przyglądałam się, jak pielęgniarka dziko gestykuluje, domagając się stanowczo, by zapewniono mi ciepłe okrycie, wcale nie bała się o to poprosić. Pozwoliłam temu zdaniu powracać w głowie: „Niech ktoś da jej koc”.

Znów zamknęłam oczy, tym razem w ciepłe. Chciałam już wyrwać się z tego męczącego snu, obudzić się we własnym łóżku, pod kwiecistą kołdrą i papierowym lampionem, ze świadomością, że siostra śpi w sąsiednim pokoju.

Ktoś szturchnął mnie leciutko, otworzyłam oczy: to samo jasne światło, te same koce. Złotowłosa kobieta stała w białym kitlu, za nią dwie inne. Spoglądały na mnie, promieniejąc, jakby patrzyły na nowo-

rodka. Jedna z pielęgniarek miała na imię Joy – radość – co uznałam za pozytywny sygnał od wszechświata. Wyszłam za nimi na niewielki parking. Czulałam się jak otoczona orszakiem marudna królowa, za którą koc ciągnął się niczym aksamitna peleryna. Mrużąc oczy, spjrzałam w niebo, próbowałam się zorientować, która godzina. Czy już świt? Weszliśmy do pustego parterowego budynku. Poprowadziły mnie do biura. Usiadłam na kanapie na kocach; zauważyłam na półce grzbiety segregatorów z nalepkami SART. Poniżej czarnym flamastrem ktoś napisał „Sexual Assault Response Team” – pogotowie dla ofiar przemocy seksualnej.

Czyli to stąd się wzięły. Byłam nikim więcej niż tylko obserwatorem, parą oczu należących do beżowego trupa z kłębem splątanych brązowych włosów na głowie. Przez cały poranek przyglądałam się srebrnym igłom nakłuwającym skórę, zakrwawionym wacikom na patyczku wyłaniającym się pomiędzy moich nóg – nic z tego jednak nie wywoływało skrzywienia, wzdrygnięcia ani głębokiego wdechu. Zmysły się wyłączyły, ciało stało się pozbawionym unerwienia manekinem. Rozumiałam tylko, że tym paniom w białych kitlach mogę ufać – poddałam się im posłusznie i odpowiadałam uśmiechem na ich uśmiechy.

Położono przede mną stos papierów. Ramię wysunęło się spod koca, by je podpisać. Jeśli wytłumaczono mi, na co wyrażam zgodę, nie dotarło to do mnie. Papiery, papiery, w różnych kolorach – jasnofioletowe, żółte, pomarańczowe. Nikt mi nie wyjaśnił, dlaczego nie mam majtek, dlaczego dłonie mi krwawią, dlaczego mam brudne włosy, dlaczego noszę te śmieszne spodnie – niemniej wydawało się, że sprawy idą do przodu, że jeśli będę przytakiwać i podpisywać, wyjdę stąd czysta i jak nowa. Podpisałam na dole strony – duże zaokrąglone C i dwa brzuszki jako M. Zatrzymałam się, gdy zauważyłam, że w nagłówku jednej ze stron napisano grubym drukiem „Ofiara gwałtu”. Jakby ryba wyskoczyła z wody. Nie, nie zgadzam się zostać ofiarą gwałtu. Czy jeśli złożę podpis na wykropkowanej linii, to się nią stanę? Czy jeśli tego nie zrobię, pozostanę dawną sobą?

Pielęgniarki wyszły, żeby przygotować gabinet do badania. Jakaś dziewczyna przedstawiła się jako April, doradczynie z SART. Miała na

sobie bluzę i legginsy; zabawnie byłoby narysować jej włosy – grzywa loków, poskręcane szlaczki spięte w kucyk. Zachwyliło mnie także jej imię, jak wcześniej Joy; April – kwiecień – to miesiąc łagodnych deszczów, miesiąc, gdy kwitną kalie. Dała mi plastikowy kubeczek z porcją owsianki posypanej brązowym cukrem; zjadłam ją byle jaką białą plastikową łyżeczką. April wydawała się młodsza ode mnie, ale dbała o mnie jak rodzona matka, namawiała cały czas, żebym piła więcej wody. Zastanawiałam się, jak ona wstaje tak wcześnie w niedzielę. Zastanawiałam się, czy dla niej to dzień jak co dzień.

Wręczyła mi pomarańczową teczkę. „To dla ciebie”. Wewnątrz znalazłam kserówki broszur o zespole stresu pourazowego, pogięte zszywki, listy telefonów, w których trudno się połapać. Ulotka, a na niej obrazek dziewczyny z kolczykiem w brwi – pełna niepokoju, ale i wkurzona. Powyżej napisano drukowanymi fioletowymi literami: „NIE JESTEŚ SAMA. TO NIE TWOJA WINA!”. Co nie jest moją winą? Czego nie zrobiłam? Rozłożyłam papierową broszurę „Reakcje po”. Pierwszy etap: „Do dwudziestu czterech godzin później: odrętwienie, oszołomienie, niejasny lęk, szok”. Wszystko się zgadzało; pokiwałam głową. Następny: „Dwa tygodnie do sześciu miesięcy później: kłopoty z pamięcią, wyczerpanie, poczucie winy, koszmary”. Ostatni etap: „Sześć miesięcy do trzech lat później: izolacja, dręczące wspomnienia, myśli samobójcze, niezdolność do pracy, nadużywanie alkoholu i innych substancji, problemy w związkach, samotność”. Kto to napisał? Kto zaplanował tak koszmarną przyszłość na tym gównianym kawałku papieru? Co ta oś czasu skrzywionej obcej osoby miała wspólnego ze mną?

– Chcesz zadzwonić do siostry? Możesz jej powiedzieć, żeby przyjechała po ciebie za parę godzin.

April pożyczyła mi telefon. Miałam nadzieję, że Tiffany jeszcze śpi, ale odebrała natychmiast. Znam jej płacz: wiem, kiedy miała stłuczkę samochodową, nie mogła znaleźć ubrania albo zobaczyła umierającego psa w telewizji. Ten płacz brzmiał inaczej, jak trzepot ptasich skrzydeł wewnątrz szklanej skrzynki, chaos. Ciało zeszytniało mi od tego dźwięku. Głos stał się równy i jasny. Czulałam, jak się uśmiecham.

– Tiffany – powiedziałam.

Nie rozumiałam, co mówi. Przez to mój głos stał się jeszcze spokojniejszy, jakbym chciała ją ugłaskać.

– Hej, dostałam śniadanie za darmo! Tak, nic mi nie jest. Nie płacz! Myślą, że coś się stało, ale nie, nie są nawet jeszcze pewni, czy to prawda, to tylko na wszelki wypadek, ale lepiej będzie, jeśli zostanę tu jakiś czas, okej? Mogłabyś odebrać mnie za parę godzin? Jestem w szpitalu na Stanfordzie.

Stażystka popukała mnie lekko w ramię.

– W San Jose. Jesteś w Centrum Medycznym Santa Clara Valley. Gapiłam się na nią, nie rozumiałam.

– Och, przepraszam, jestem w szpitalu w San Jose! – powiedziałam, myśląc: „Jestem o czterdzieści pięć minut jazdy od domu, w innym mieście?”. – Nie martw się! Zadzwoń, jak będę gotowa.

Zapytałam April, czy wie, jak się tu znalazłam.

– Przywieźli cię karetką.

Nagle zaczęłam się martwić, jak zdołam za to wszystko zapłacić. Ile kosztuje badanie? Sosnowe igły drapały w szyję jak pazurki. Wyciągnęłam kasztanowy, kłujący liść paproci. Przechodząca pielęgniarka powiedziała, że nie powinnam go ruszać, bo muszą jeszcze obfotografować moją głowę. Wsadziłam liść z powrotem, jakbym wpinała szpilkę w kok. Gabinet przygotowano już do badania.

Wstałam i zauważyłam maleńkie szyszki i igły sosnowe rozsypane na poduszkach. Skąd, do cholery, się wzięły? Pochyliłam się, żeby je pozbierać, a wtedy włosy rozsypały mi się na ramię i na czyste kafelki spadło jeszcze więcej igliwia. Przyklękłam, wciąż przykryta kocem, i zaczęłam zgarniać je w zgrabną kupkę.

– Czy będą wam potrzebne? – zapytałam, trzymając je na wyciągniętej dłoni. – Mogę to wyrzucić?

Powiedziały, żebym się nie przejmowała i po prostu je zostawiła. Usiadłam z powrotem na kanapie, zakłopotana, że robię bałagan, rozsypuję śmieci na nieskazitelnej podłodze i meblach. Pielęgniarki pocieszały mnie śpiewnym głosem:

– To tylko flora i fauna, flora i fauna.

Dwie pielęgniarki zaprowadziły mnie do zimnego szarego pomieszczenia z wielkim lustrem, oświetlonego porannym blaskiem. Poprosiły, żebym się rozebrała. Wydało mi się to przesadą. Nie rozumiałam, dlaczego mam odsłonić skórę, ale ręce zaczęły zdejmować ubranie, zanim umysł zdążył wyrazić na to zgodę. „Słuchaj ich”. Pielęgniarki podały mi białą papierową torebkę; włożyłam do niej usztywniany biustonosz o wytartych ramiączkach. Sukienka wylądowała w innej torbie; miałam jej już więcej nie zobaczyć. Chodziło o sprawdzenie śladów nasienia czy coś takiego. Kiedy wszystko zabrano, stałam naga, moje sutki wgapiły się we mnie, nie wiedziałam, co zrobić z rękami, chciałam skrzyżować je na piersi. Miałam stać nieruchomo, podczas gdy pielęgniarki obfotografowały moją głowę pod różnymi kątami. Byłam przyzwyczajona do tego, że podczas zdjęć zwykle przyglądam włosy, zaczesuję je na bok, ale teraz bałam się dotknąć skłębionej masy. Zastanawiałam się, czy powinnam pokazać zęby w uśmiechu, w którą stronę patrzeć. Chciałam zamknąć oczy, jakbym w ten sposób mogła się schować.

Jedna z pielęgniarek wyjęła z kieszeni plastikową miarę. Druga trzymała ciężki czarny aparat fotograficzny.

– Trzeba zmierzyć i udokumentować wszystkie otarcia – wyjaśniła.

Poczułam, jak okryty lateksem palec pociera moją skórę, sztywna kraweść miarki przyciskała się do szyi, brzucha, pośladków, ud. Słyszałam każde kliknięcie; czarny obiektyw unosił się nad każdym włosem, gęsią skórą, żyłą i porem. Od czasu, gdy jako dziecko zaczęłam miewać gwałtowne wykwity egzemy, boleśnie krępowała mnie świadomość stanu własnej skóry. Nawet kiedy się wygoiła, zawsze miałam wrażenie, że jest opuchnięta i zaczerwieniona. Zamarłam pod okiem obiektywu. Ale w miarę jak pielęgniarki krążyły wokół, ich łagodne głosy pozwoliły mi oderwać się od własnych myśli. Opiekowały się mną jak gołąbki w *Kopciuszku*, jakby miały w dzióbkach centymetr krawiecki i wstążki i brały miarę na sukienkę.

Odwrociłam głowę, żeby się przyjrzeć, co fotografują, i zobaczyłam czerwony ślad zadrapania na pupie. Strach zamknął mi oczy, z powrotem zwróciłam głowę przed siebie. Zwykle najokrutniej krytykowałam

własne ciało: „Twoje cycki są za daleko od siebie. Dwa smutne woreczki. Sutki zwracają się w przeciwne strony jak oczy iguany. Kolana masz dziwnego koloru, prawie fioletowe. Brzuch jak z ciasta. Talia za szeroka i prostokątna. Co komu po długich nogach, jeśli nie są smukłe”. Ale kiedy tak stałam, całkiem naga, ten głos zniknął bez śladu.

Wpatrywałam się w siebie, podczas gdy pielęgniarki kontynuowały – w górę, w dół, dookoła. Uniosłam głowę, wydłużyłam szyję, opuściłam barki, rozluźniłam ramiona. Poranne światło rozlało się po dekolcie, krzywiznach uszu, obojczykach, biodrach i łydkach. „Spójrz na to ciało: zgrabne łuki piersi, kształt pępka, długie piękne nogi”. Wyglądałam jak paleta ciepłych piaskowych tonów, promieniejące naczynie w tym pokoju śnieżnobiałych kitlów i turkusowych rękawiczek.

Wreszcie mogliśmy oczyścić włosy. Wszystkie trzy wyłuskiwałyśmy spomiędzy nich sosnowe igły, jedną po drugiej, i wkładaliśmy do papierowej torebki. Czuałam pociągnięcia w miejscach, gdzie coś się zaplątało, ostre szarpnięcia, gdy wyrwano z głowy cienkie kosmyki. Ciągnęłyśmy i ciągnęłyśmy, aż torebka wypełniła się patyczkami i włosami.

– To powinno wystarczyć – powiedziała pielęgniarka.

Milczałam, gdy wyłuskiwałyśmy pozostałe igły i patyczki; rzucaliśmy je na podłogę, skąd później miały zostać zamiecione. Dmuchałam lekko na ramiona, żeby strącić z nich brud. Wypłatywałam z włosów sosnową igłę w kształcie ości, a pielęgniarki przeczesały tył pokrytej strupami głowy. Trwało to wieczność. Gdyby kazały mi się pochylić, żeby mogły ją ogolić, zrobiłabym to bez żadnych pytań.

Wręczono mi wiotki szpitalny fartuch i poprowadzono do innego pomieszczenia, gdzie stało coś, co wyglądało jak fotel dentystyczny. Położyłam się z rozłożonymi nogami i stopami na podpórkach. Do sufitu nad fotelem przypięto pinezkami zdjęcie żagłówki. Wyglądało jak wyrwane z kalendarza. Tymczasem pielęgniarki przyniosły tacę; w życiu nie widziałam tylu metalowych narzędzi. Pomiędzy szczytami zgiętych kolan widziałam trzy kobiety, mały łańcuch górski; jedna siedziała na taborecie, dwie stały za nią – wszystkie wpatrzone we mnie.

– Jesteś taka spokojna – powiedziały.

Nie wiedziałam: spokojna w porównaniu z kim? Wpatrywałam się w tę małą żaglówkę na suficie, wyobrażałam sobie, jak kołysze się na falach, gdzieś w słonecznym miejscu, daleko od tego małego pokoju. Pomyślałam: „Ta żaglówka ma niemało roboty, próbując odwrócić moją uwagę”. W odbyt wetknięto dwa długie drewniane patyczki z watą na końcu. Żaglówka robiła, co mogła.

Minęło parę godzin. Nie podobały mi się zimny metal ani sztywne patyczki z bawełnianymi główkami, tabletki, strzykawki, ani to, że musiałam rozchylić uda. Ale głosy pielęgniarek działały uspokajająco: czułam się, jakbyśmy miały pogadać o życiu, dostałam kubeczek z neonoworóżowymi pigułkami – podały go takim gestem, jakby był kieliszkiem z mimozą. Podtrzymywały kontakt wzrokowy, a każdą procedurę poprzedzały wyjaśnienia, zanim coś we mnie wetknięto.

– Jak się czujesz, wszystko w porządku? Mam tu mały niebieski pędzelek, posmaruję nim tylko wargi sromowe, możesz wtedy poczuć zimno. Wychowałaś się w tej okolicy? Masz plany na walentynki?

Wiedziałam, że zadają pytania, żeby odwrócić moją uwagę. Wiedziałam, że niezobowiązujące pogaduszki to tylko gra, w którą wszystkie gramy, wstęp do czegoś innego.

W trakcie rozmowy ich ręce poruszały się energicznie, okrągły wzniernik zaglądał w jamę pomiędzy udami. Kolejna mikrokamera wślizgnęła się we mnie, na ekranie pojawił się obraz wewnętrznych ścian pochwy.

Rozumiałam, że okryte rękawicami dłonie powstrzymują mnie przed upadkiem w otchłań. Że cokolwiek próbowało wczołgać się we mnie, zostanie wywleczone za kostki. Tworzyły oddział obronny, który budował moją wewnętrzną barykadę; czasami nawet udawało im się mnie rozbawić. Nie mogły cofnąć tego, co się stało, ale mogły to udokumentować, sfotografować każdy milimetr, zamknąć w szczelnych torebkach, zmusić kogoś, żeby się temu przyjrzał. Ani razu się nade mną nie litowały, nie użalały, nie mówiły „biedactwo”. Nie postrzegały uległości jako słabości, więc nie czułam potrzeby, żeby udowodniać im, że jestem czymś więcej niż to, co mnie spotkało. One wiedziały.

Wstyd nie miał szansy oddychać pełną piersią, przegnano by go. Rozluźniłam więc ciało i powierzyłam je pielęgniarce, pozwoliłam myślom unosić się na lekkim strumieniu rozmowy. Później, kiedy wspominałam ten czas, uświadomiłam sobie, że to właśnie dlatego lęk i dyskomfort zeszyły na drugi plan. Dominującym uczuciem było ciepło.

Skończyły wiele godzin później. April zaprowadziła mnie do plastikowego namiotu ogrodowego pod ścianą. Był wypchany po brzegi swetrami i spodniami, które czekały na nowych właścicieli. „Dla kogo to?” zastanawiałam się. Ile z nas weszło tu i dostało nowe ubrania wraz z teczką pełną broszur? Stworzono cały system, wiedząc, że takich jak ja będzie niezliczona rzesza. „Witaj w klubie, oto twój nowy mundur. W teczce znajdziesz wskazówki opisujące proces wychodzenia z traumy i zdrowienia, który może trwać do końca życia”. Stażystka uśmiechała się, mówiąc: „Wybierz kolor, jaki chcesz!”. Jakbym decydowała, czym posypią mrożony jogurt. Wzięłam beżową bluzę i niebieskie spodnie od dresu.

Pozostało mi tylko się umyć. Detektyw był już w drodze. Zabrano mnie z powrotem do szarego zimnego pokoju; teraz zauważyłam, że w rogu jest zainstalowana główka prysznicowa. Podziękowałam i zamknęłam drzwi. Powiesiłam na wieszaku szpitalny fartuch. Przejrzałam zawartość chybotliwego koszyka, było tam pełno podarowanych przez hotel szamponów: zielona herbata, morska bryza, drzewo sandałowe. Przekręciłam kurek. Po raz pierwszy stałam całkiem naga i sama, bez uspokajających głosów, bez czujących rąk. Poza pluskiem wody uderzającej o podłogę panowała kompletna cisza.

Nikt nie użył słowa „gwałt”, widniało tylko w tej jednej notatce w papierach. Zamknęłam oczy. Jedyne, co widziałam, to Tiffany w kręgu światła – potem wspomnienie się urywało. Czego w nim brakowało? Spojrzałam w dół, rozchyliłam wargi sromowe palcami i zauważyłam, że pociemniały od farby – na widok winnofioletowego koloru poczułam mdłości. Powiedzcie mi, co się stało. Słyszałam, jak pielęgniarki mówiły: „kiła, rzeżączka, ciąża, HIV”. Dostałam pigułkę „dzień po”. Patrzyłam na strużkę przezroczystej wody na

skórze – beużyteczną. Wszystko, co pragnęłam wyczyścić, tkwiło wewnątrz. Spojrzałam w dół na własne ciało, gruby worek dziwnego koloru, i pomyślałam: „Niech ktoś zabierze również to, nie mogę z tym zostać sama”.

Chciałam tłuc głową w ścianę, żeby uwolnić zablokowane wspomnienia. Zaczęłam odkręcać nakrętki i wylewać lśniące szampony na piersi. Stałam pośród porzucanych pustych buteleczek, pozwoliłam włosom opaść na twarz, parzyły mi skórę. Chciałam, by woda wsiąkała w jej pory, by wypaliła i odnowiła każdą komórkę ciała. Chciałam wciągnąć całą parę do płuc, udusić się, oślepnąć, wyparować. Mleczne strużki wody wiły się pod stopami, wpływały w metalową kratkę ściekową, podczas gdy szorowałam głowę. Czułam się winna; w Kalifornii panowała bezlitosna susza, wszystko wyschło na wiór. Pomyślałam o domu rodzinnym, gdzie tata trzymał czerwone wiaderka pod każdym zlewem i wynosił je do ogrodu, by podlać kwiaty resztką mydlin. Woda stanowiła luksus, ale ja stałam niewzruszenie, patrząc, jak całe jej litry znikają w odpływie. „Przepraszam, dziś potrzebuję długiego prysznicza”. Musiało minąć ze czterdzieści minut, ale nikt mnie nie popędzał.

Zakręciłam kran. Stałam tak, w ciszy i mgle. Na koniuszkach palców pojawiły się blade zmarszczki. Przetarłam lustro, zebrałam z niego skroploną parę. Policzki mi poróżwiały. Rozczesałam mokre włosy, wślizgnęłam się w bawełnianą bluzę, zapięłam naszyjnik i ułożyłam go centralnie na piersi. Zasznurowałam buty, z całego ubrania tylko je pozwolono mi zatrzymać. Wcisnęłam błękitne nogawki w cholewki, ale po namyśle wyjęłam i puściłam luźno – tak lepiej. Gdy układałam włosy w kok, zauważyłam, że z rękawa wystaje metka. Na niej znalazłam maleńki rysunek, logo marki – Grateful Garments.

Co roku babcia Ann (która nie była naszą krewną, ale i tak uważaliśmy ją za babcię) robiła ekstrawaganckie papierowe kapelusze z materiałów z odzysku: plastikowa siatka, w którą pakowano owoce, kolorowe komiksy, pióra w kolorze indygo, kwiaty z origami. Sprzedawała je na ulicznym jarmarku, a zarobione pieniądze wpłacała na rzecz lokalnych organizacji, w tym Grateful Garments, która zapew-

nia ubrania ofiarom przemocy seksualnej. Gdyby nie oni, wyszłabym ze szpitala jedynie w cienkim fartuchu i w butach. Co oznaczało, że godziny spędzone na sklejaneniu tych kapeluszy przy stole w jadalni i sprzedawaniu ich na stojącym w słońcu straganie podarowały mi łagodną zbroję. Babcia Ann utuliła mnie i powiedziała, że jestem gotowa.

Wróciłam do biura; siedziałam z dłońmi wciśniętymi pod kolana, czekałam. Detektyw pojawił się w drzwiach; miał starannie przystryżone włosy, okulary w prostokątnych oprawkach, czarny płaszcz, szerokie ramiona oraz plakietkę z nazwiskiem Kim – najwidoczniej Amerykanin koreańskiego pochodzenia. Stał przepaszając w progu, jakby to był mój dom, do którego nie chciał wejść w zabłoconych butach. Wstałam, żeby się przywitać. Ufałam mu, bo sprawiał wrażenie smutnego – tak smutnego, że uśmiechnęłam się, by przekonać go, że nic mi nie jest.

Rozłożył duży notatnik, czarny prostokątny dyktafon, poinformował, że cokolwiek powiem, zostanie zarejestrowane.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

Siedział z długopisem unoszącym się nad kartką papieru; rolki minikasety się obracały.

Nie czułam zagrożenia; wyraz jego twarzy mówił, że przyszedł tu, by mnie wysłuchać.

Kazał opowiedzieć wszystko po kolei, ze szczegółami: jakie jedzenie podał tata, ile zjadłam, ile kieliszków wypiałam, jakiej marki whisky, dlaczego poszłam na imprezę, o której przyszłam, ile osób się tam zebrało, jaki alkohol podano, czy butelka była zalakowana, gdzie i kiedy poszłam siku, o której wróciłam do środka. Ciągłe spoglądałam w sufit, jakby miało mi to pomóc pobudzić pamięć. Nie przywykłam do odtworzenia banalnych szczegółów z taką dokładnością. Detektyw przez cały czas notował, potakiwał nieznacznie, wypełniał i odwracał kolejne kartki – szu, szu, szu. Kiedy dotarłam do tego, jak stałam na patio, widziałam, że napisał: OSTATNIE, CO PAMIĘTA. Z kliknięciem wyłączył długopis. Spojrzał na mnie, wciąż czegoś szukał. Zmierzałyśmy dokąds, ale ścieżka się urywała. Nie miałam tego, czego potrzebował.

Z zapisu rozmowy wynika, że przez cały ten ranek powiedział tylko, że jakaś para zauważyła mnie nieprzytomną, przyjechali policjanci, ale wciąż nie dawałam znaku życia.

– Ze względu na to, gdzie i w jakim stanie panią znaleziono, jak zawsze musimy brać pod uwagę, że mogło dojść do napaści na tle seksualnym – powiedział.

Ze względu na to, w jakim stanie. Powiedział, że po zakończeniu śledztwa personalia mężczyzny zostaną podane do publicznej wiadomości.

– Ale jak dotąd nie wiemy jeszcze, co zaszło – dodał. – Miejmy nadzieję, że nic. W najgorszym wypadku musimy oprzeć się na tym, co mamy.

Usłyszałam tylko: „Miejmy nadzieję, że nic”.

CHANEL: Wie pan, gdzie dokładnie mnie znaleźli?

POLICJANT: No cóż... Między tym miejscem a domem bractwa jest taki kawałek przestrzeni, yyy, wydaje mi się, że śmietnik. Ale nie w śmietniku.

CHANEL: No nie.

POLICJANT: Nie, ale tuż obok.

– Jacyś ludzie przechodzili i zauważyli panią – powiedział – i pomyśleli: zaraz, to nie wygląda dobrze. A gdy się zatrzymali, dostrzegli, że ktoś tam leży... przyszedł ktoś jeszcze i zobaczył panią. No i, noo, zadzwonili po nas. Więc, oczywiście, noo... uznaliśmy, że możliwe, że doszło do gwałtu.

Nie rozumiałam. Jak znalazłam się na zewnątrz? I co nie wyglądało dobrze? Detektyw kręcił się na krześle; zauważyłam, że lekko się skrzywił, gdy mówił:

– Czy uprawiała pani przygodny seks?

Uznałam, że to dziwaczne pytanie. Zaprzeczyłam.

– Więc nikt nie miał prawa pani w żaden sposób dotykać. – Policjant miał minę tak smutną, jakby już znał odpowiedź.

Poczułam, że sztywnieję.

– Ale złapali go wczoraj wieczorem, prawda? Próbował uciec?

– Musimy się upewnić, że to właściwa osoba, czy to faktycznie ten, kto coś pani zrobił albo próbował zrobić. No, ten ktoś zachowywał się naprawdę podejrzanie w pobliżu pani – odparł policjant.

„Podejrzanie”.

– Nie chciałym jeszcze stwierdzać kategorycznie, że to ta osoba. Z Kodeksu karnego wynika, że możemy zatrzymać kogoś na podstawie przypuszczenia, że popełniono przestępstwo, bo gwałt to przestępstwo. Możemy dokonać aresztowania, kiedy mamy powód, by uznać, że doszło do popełnienia przestępstwa. Nawet jeśli do niego nie doszło.

Z podtekstu wynikało, że zaszło coś poważnego, ale zakończył wypowiedź w sposób dopuszczający inny scenariusz, w którym nic się nie stało. „Nawet jeśli do niego nie doszło. Zrobił albo próbował zrobić. Miejmy nadzieję, że nic. Podejrzanie”. Balansowałam na granicy dwóch światów: w jednym nic się nie stało; w drugim mogłam zostać zgwałcona. Rozumiałam, że policjant nie udziela pełnych informacji, bo śledztwo wciąż trwa. Może zauważył też, że woda kapie mi z włosów i jestem dziwnie ubrana. Może myślał o mojej siostrze, która zaraz miała przyjechać.

Detektyw Kim powiedział, że może nazajutrz przypomnę sobie więcej; dał mi swoją wizytówkę. Przytaknęłam, choć zdawałam sobie sprawę, że opowiedziałam już wszystko, co wiedziałam. Dodał jeszcze, że wieczorem mogę odebrać swój telefon na posterunku. Za nim pojawiła się moja siostra: przygarbiona, twarz bez wyrazu. Przystałam być ofiarą; stałam się starszą siostrą. Na końcu taśmy słychać, jak Tiffany wchodzi.

Cześć – powiedziałam.

Mój boże.

Cześć.

Mój boże.

Tak mi przykro.

Och.

Martwiłaś się przeze mnie.

Nie, nic się nie stało.

Och, przepraszam.

Nie przepraszaj – powiedziała.

Byłam wyprostowana, niewzruszona, dorosła, pokazywałam jej, że ci nieznajomi obecni w pokoju są mili, że można z nimi rozmawiać. April naląła wody do szklanki, podsunęła krzesło. Tiffany nie mogła powstrzymać płaczu. Patrzyłam na nią cały czas, gdy odpowiadała na pytania detektywa. Podała te same nazwy drinków, imiona znajomych, opisała atmosferę na imprezie. Wspomniała, że był tam jeden blondyn, który bez przerwy przysuwał twarz do jej twarzy, dotykał jej bioder, łąził za nią. Wszystkie koleżanki zaczęły go unikać. Mówiła, że jej zdaniem to dziwne, że ten koleś ani razu się nie odezwał, gapił się tylko wielkimi oczami, gdy się ku niej pochylał. Czuła się tak nieręcznie, że wybuchnęła śmiechem i zderzyli się zębami.

Powiedziała, że zostawiła mnie na chwilę, żeby zająć się koleżanką, która źle się poczuła, myślała, że poradzę sobie sama. Kiedy wróciła, policja zamykała imprezę. Zapytała dwóch studentów, którzy stali przy drzwiach, co się stało; powiedzieli, że koniec zabawy, bo ktoś poskarżył się na hałas. Zapytała też policjanta na parkingu; odparł, że nie może o tym mówić. Uznała, że poszłam się spotkać ze znajomymi w centrum Palo Alto. Chodziła i pytała: „Widzieliście dziewczynę podobną do mnie?”. Wraz z Colleen zajrzały za wszystkie drzwi w domu bractwa, początkowo wściekle, a potem zmartwione, że nie odbieram telefonu. Wołały mnie po imieniu, zwrócone w stronę drzew, podczas gdy byłam wywożona na noszach, które zniknęły w kanciastym białym pojeździe.

– Studenci go zatrzymali – powiedziałam. – To super, nie?

Tego ranka myślałam, że gdy przechodnie zauważyli podejrzanie zachowującego się faceta, pobiegli za nim. Nie wiedziałam nic o fizycznym kontakcie. Nie miałam pojęcia, że ten mężczyzna dotykał mnie pod ubraniem, że obnażył część ciała. Powiedziałam sobie, że uniknęłam najgorszego, że zły człowiek został aresztowany i możemy już sobie iść. Detektyw podziękował. Wieczorem miałyśmy pójść na posterunek w Stanfordzie, by odebrać telefon. Kobiety w białych kitlach otoczyły mnie, ucisnęły mocno, w końcu pozwoliły odejść.

Wyszło słońce, jego ostre promienie odbijały się od nielicznych samochodów na parkingu. Co za surrealistyczny niedzielny poranek.

– Oblęd, nie? To chyba najbardziej zwariowana rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Nawtykali mi mnóstwo towaru w cipkę. No, po prostu nie mogę, spójrz tylko, jak wyglądam. Od czapy ubranie, co? – Prezentowałam zaczesane włosy i za duży dres niczym modelka, spacerując, robiąc lekki obrót. Tiffany wciąż miała lzy w oczach, odychała nierówno, jej śmiech brzmiał jak czkawka.

Siedziałyśmy w samochodzie i gapiliśmy się na płot z siatki drucianej; Tiffany czekała, aż powiem jej, dokąd jechać. Widziałam, że jest wstrząśnięta. Nie myślałam o tym, kto to zrobił, co czuję ani gdzie się ukażą fotografie. Myśli krążyły wyłącznie wokół niej, młodszej siostry, której jestem winna odpowiedzi.

Nauczono mnie, że muszę o nią dbać. Raz zrobiło jej się niedobrze w samolocie, wychyliła się naprzód – a ja wyciągnęłam ręce, żeby schwytać wymiociny, zanim wylądują na jej kolanach. Kiedy babcia posypywała nam sałatkę pleśniowym serem, Tiffany zatykała nos, a ja czekałam, aż babcia się odwróci, żeby wepchnąć sobie do ust pokryte serem liście z talerza siostry. Po tym, jak obejrzałyśmy *E.T.*, przez całe siedem lat co noc zasypiała ze mną w łóżku, ze strachu przed tym odwodnionym kosmitą i jego pomarszczonym palcem. Kiedy pary całowały się w filmach, zasłaniałam jej twarz poduszką, mówiąc, że to nieodpowiednie dla niej, że jest za młoda. Pisałam i redagowałam eseje, które miały przekonać rodziców, że powinni kupić nam komórki Nokii. Na każdym klasowym przyjęciu zawijałam pół pączka czy racucha w serwetkę, żeby na przerwie dać siostrze. Kiedy miałam fioła na punkcie koni, psią smyczą przywiązałam Tiffany do krzesła, nazwałam ją Trinity, osiodłałam za pomocą maty-wycieraczki, czesałam jej włosy i kazałam jeść chrupki z ręki. Do dziś pamiętam, jak rodzice znaleźli ją w „stajni”.

– Jeśli chcesz się tak bawić, to ty musisz zostać koniem – powiedzieli.

Musisz poświęcać się dla niej, chronić przed kosmitami, zjadać jej pleśniowy ser. Zrozumiałam, że to pierwsze i najważniejsze zadanie, jakie miałam do wykonania.

Nie mogłam jeszcze wrócić do domu, do rodziców. Potrzebowałam czasu, by pomyśleć. Obie z Tiffany byłyśmy na tyle dorosłe, że robiłyśmy, co chciałyśmy; jeśli któraś nie pojawiała się w domu, znaczyło to, że została u koleżanki, żaden powód do zmartwień, w naszej okolicy nie ma się czego bać. Wiedziałam, że nie mogę im powiedzieć, że ocknęłam się w szpitalu, pokryta roślinnością, ponieważ ktoś zachowywał się podejrzanie, i liczyć, że po prostu przyjmą to do wiadomości.

– Ale wszystko okej – powiedziałaabym.

Na co oni by odparli:

– Nie, to nie jest okej.

Tata dopytywałby kto, gdzie, kiedy i jak. Mama posłałaby mnie do łóżka z kubkiem ciepłego napoju imbirowego. Kiedy się powie rodzicom, robią aferę. Nie chciałam robić afery. Chciałam tylko, żeby to wszystko minęło.

Utwardziłam się w przekonaniu, że policja powie, że facet próbował coś mi zrobić, ale mu się nie udało, i że przeproszą za niedogodności. Właściwie byłam tak pewna, że to wszystko to jakaś pomyłka, że kiedy siostra zapytała, czy powiem rodzicom, odparłam:

– Może za parę lat.

Wyobrażałam sobie, że kiedyś rzucę to niezobowiązująco podczas rozmowy przy kolacji.

– Czy wiecie, że raz prawie padłam ofiarą ataku? – zapytam.

No co oni odpowiedzą:

– Och nie, tak nam przykro, nie wiedzieliśmy, że spotkało cię coś takiego. Czemu nic nam nie powiedziałaś?

– No cóż, to było dawno i okazało się, że nic się nie stało – odpowiem, po czym machnę ręką i poproszę, żeby podali mi fasolkę szparagową.

Gdy tak siedziałyśmy na parking, jedynym miejscem, jakie przyszło mi do głowy, było In-N-Out Burger*. Była dziesiąta rano, trochę za wcześnie na hamburgery, ale In-N-Out jest wyjątkowe. Dorasta-

* Lokalna kalifornijska sieć barów fastfoodowych.

jąc, patrzyłyśmy na ich wykładane białymi kafelkami wnętrze jak na kościół. To tam nas ciągnęło, gdy byłyśmy zdenerwowane, miałyśmy powód do świętowania albo złamane serce. Ta sól i sosy zawsze poprawiały mi nastrój. Jednak kiedy dotarliśmy na miejsce, wstydziłam się wejść w takim ubraniu i poprosiłam, żebyśmy skorzystały z okienka drive-in. Zamówiłyśmy hamburgery i zaparkowałyśmy, żeby zjeść. Ugryzłam kawałek, ale nie poczułam sosu. Wsunęłam burgera z powrotem w opakowanie i postawiłam przy nogach. Zabiłyśmy dość czasu. Wiedziałyśmy, że teraz już nikogo nie będzie w domu – tata poszedł po sprawunki, mama jest u koleżanek: to ich zwykle niedzielne zajęcia.

Tata jest emerytowanym psychoterapeutą, który pracował przez sześć dni w tygodniu, dwanaście godzin dziennie, wysłuchując ludzi. Pieniądze na nasze utrzymanie zarobił, przeprowadzając ludzi przez historie, jakich nigdy nie usłyszymy. Mama jest autorką czterech książek napisanych po chińsku, co oznacza, że nie jestem w stanie ich przeczytać. Pomimo otwartości rodziców znaczna część ich życia pozostaje dla mnie tajemnicą.

W ciągu dwudziestu lat prywatnej praktyki tata poznał już wszystkie możliwe scenariusze. Mama, która dorastała w Chinach podczas rewolucji kulturalnej, widziała wszelkie możliwe zbrodnie. Oboje rozumieją, że życie jest ogromne i pełne chaosu, że nic nie jest czarno-białe, że sprawy nigdy nie toczą się tylko jednym torem; wiedzą, że nie ma większego cudu niż położyć się wieczorem i obudzić nazajutrz. Brali ślub w jedynym chińskim centrum kulturalnym w stanie Kentucky; stanowili atrakcyjną i niecodzienną parę.

Nasze meble nie pasują do siebie. Ręczniki nie są białe i puchate, tylko zużyte, a na niektórych jest Scooby Doo. Kiedy przychodzą goście, Tiffany i ja chowamy do kosza wszystkie książki, piłki, z których zeszło powietrze, próbki balsamów – aż cały dom łśni. Staramy się naśladować nieskazitelny wystrój domów przyjaciół. Ale po ich wyjściu jest tak, jakby cały dom rozpiął spodnie i wypuścił brzuch – klamoty znów zalewają mieszkanie.

To miejsce, gdzie wszystko rośnie; jeśli coś się rozleje, nikt się nie gniewa; każdy jest mile widziany bez względu na porę. Rodzina to

cztery planety, które orbitują w tym samym małym wszechświecie. Gdybyśmy mieli jakieś motto, brzmiałoby ono: „Proszę bardzo, postępuj po swojemu”. Nasz dom jest niekonwencjonalny. Pełen ciepła i bliskości, choć każdy pozostaje niezależny. To miejsce, gdzie ciemność nie ma wstępu. Nie zamierzałam jej wpuszczać.

Wjeżdżaliśmy na podjazd pod domem, gdy do Tiffany ktoś zadzwonił; detektyw Kim chciał ze mną rozmawiać. Podała mi telefon.

– Czy chce pani wnieść oskarżenie? – zapytał.

– Co to oznacza?

Odparł, że nie potrafi nic powiedzieć o procedurze, że to domena prokuratury okręgowej. Dodał, że prokuratura jest już skłonna przedstawić zarzuty, ale ode mnie zależy, czy chcę w tym uczestniczyć. Jeśli się zdecyduję, ułatwi im to pracę, ale nie muszę. Zapytałam, czy mogę się chwilę zastanowić; oddzwonię, kiedy podejmę decyzję.

Rozłączyłam się i zwróciłam do siostry. Nie było nikogo, kogo mogłabym zapytać o radę, a Tiffany nie miała pojęcia, co robić.

– Powinnam? Pewnie tak, co? A może nie. Ale oni i tak to zrobią, więc może ja też? Znaczący... co jest? Dlaczego? – Rozglądałam się za kłopotana. – Pewnie powinnam, nie? Jeśli oni też chcą.

Pomyślałam, że z drugiej strony to jak złożyć podpis pod petycją, wyrazić poparcie dla decyzji policji o kontynuowaniu śledztwa. Bałam się, że jeśli odmówię, będzie to wyglądało, jakbym stawiała po stronie nieznanego napastnika. Sprawa sądowa nawet nie przeszła mi przez myśl, wydawała się jednym z tych niejasnych dramatycznych starć, które widuje się w telewizji. Poza tym facet już siedział w areszcie. Jeśli się okaże, że nic nie zrobił, wypuszczą go; jeśli przeciwnie, zostanie tam i odsiedzi wyrok. Mieli wszelkie dowody potrzebne, by go skazać. To czysta formalność. Oddzwoniłam.

– No więc tak. Oczywiście, tak, zrobię to. Dziękuję.

Nie wiedziałam, że pieniądze otworzą drzwi jego celi. Że kobieta nietrzeźwa w momencie ataku nie zostanie potraktowana poważnie. Nie wiedziałam, że fakt, że zaatakował mnie po pijanemu, wzbudzi współczucie. Nie wiedziałam, że luki w pamięci działają na jego korzyść. Ani tego, że ofiara to z definicji ktoś, komu się nie wierzy.

Siedząc na podjeździe, nie domyślałam się, że to jedno „tak” otwory moje ciało na oścież, rozgrzebie rany do żywego mięsa, że wystawi mnie z rozłożonymi nogami na widok publiczny. Nie miałam pojęcia, co to postępowanie przygotowawcze, na czym właściwie polega proces. Nie podejrzewałam, że zostaniemy z siostrą poinstruowane, by przestać się ze sobą komunikować, bo inaczej obrona posądzi nas o spisek. Tego ranka trzyliterowe słowo otworzyło przyszłość, w której skończę dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, nawet dwadzieścia sześć lat, zanim sprawa dobiegnie końca.

Poszłam korytarzem do swojego pokoju, powiedziałam siostrze, że niedługo wrócę. Zamknęłam drzwi i wzięłam kolejny prysznic, żeby zmyć z siebie szpital. Tiffany rozłożyła wersalkę w salonie, włączyła telewizor. Położyłam się obok niej. Gdy tylko to zrobiłam, jej ramię zaciążyło na mnie jak przycisk do papieru – jakby się bała, że ulece w powietrze. Telewizor mruczał, popołudniowe słońce sączyło się przez okna salonu, rodzice krzatali się tam i z powrotem po korytarzu, a my zapadałyśmy w drzemkę i budziłyśmy się z niej. Poszłyśmy razem na imprezę i tam nas rozdzielono; teraz znów się odnalazłyśmy, ale nie jest już tak samo.

Gdy zapadł zmierzch, wyłoniłyśmy się z salonu, powiedziałyśmy rodzicom, że wyskoczymy po lody. Teraz tego żałuję, bo od tamtej pory na te słowa mama przygląda mi się i muszę potwierdzić: „Przysięgam, naprawdę po lody”.

Najpierw podjechałyśmy po Julię, która uczyła się w bibliotece na kampusie. Przyjaźniła się z Tiffany, odkąd w dzieciństwie założono im obu aparaty ortodontyczne. Julia zawsze emanowała energią, ale kiedy zaparkowałam, wyglądała na wstrząśniętą.

Gdy w samochodzie przyglądałam się im obu, dotarła do mnie świadomość, że sekret należał teraz także do nich. Wiedziałam, że powinnyśmy załatwić tę sprawę inaczej. Jeśli to Tiffany kiedykolwiek wylądowałaby w szpitalu, chciałabym, żeby rodzice o tym wiedzieli. Znajdowałam się jednak w dziwacznej sytuacji. Gdy pytają: „Czemu nie powiedziałaś rodzicom?”, odpowiadam pytaniem: „A dlaczego

mnie nikt nie powiedział?” Muszę kontrolować sytuację, dopóki nie dowiem się więcej.

Na parkingu panowały cisza i ciemność. Przejeżdżałam obok tego budynku wiele razy: mały, otoczony kawałkami kory i niewysokimi krzakami niczym fosą. Ćmy odbijały się od białej rozjarzonej kreski świetlówek na zewnątrz. Drzwi zabręczczały, gdy wpuszczano nas do obskurnego korytarza pokrytego tablicami korkowymi i ulotkami. Nie widziałam detektywa Kima. Zamiast niego zjawiała się policjantka w wiatrówce. Miała oliwkową cerę, długie cienkie włosy sięgające prawie do pasa. Poszłam za nią do małego pomieszczenia, gdzie na stole leżały notatnik i dyktafon; Tiffany i Julia czekały w sąsiednim pokoju. Myślałam, że policjantka opowie mi, co zaszło z tym mężczyzną, i odda telefon, życząc wszystkiego dobrego. Ale drzwi były zamknięte, rolety opuszczone. Znow zaczęły się pytania o każdy najdrobniejszy szczegół z poprzedniego wieczora, tym razem nawet bardziej wnikliwie. Zapis rozmowy zajął siedemdziesiąt dwie strony. Wszystko zdawało się nudne i zbędne, nie rozumiałam, jakie znaczenie ma to, co powiem, i jak wpłynie na dalszy rozwój wypadków.

Pukanie do drzwi, kolejny policjant, wysoki, w mundurze w kolorze żółdziej, gruby wąs, czarny pas pełny czarnych kształtów. Wyglądał na zatroskanego i zmęczonego; powiedział, że cieszy się, że wszystko ze mną w porządku. Mówił jednak takim tonem, że zabrzmiało to jak cud – jakbym umarła i zmartwychwstała. Opowiadał, że jeden z chłopaków, którzy mnie znaleźli, musiał przerwać składanie zeznań, rozplakał się, z trudem łapał dech. Sierżant wyznał, że sam był bliski łez. Pomyślałam: „Dorośli faceci płaczą. Co się, do cholery, stało?”

Policjantka wyciągnęła mój telefon z dużej koperty. Niebieską obudowę pokrywał brud, brzegi okalała gruba brązowa ramka błota, jakby telefon pogrzebano, a potem odkopano. Miałam dziesiątki nieodebranych połączeń i esemesów od Tiff i Julii. „Gdzie jesteś, martwię się”. Policjantka poprosiła, żebym wysłała jej mejlem wszystkie zdjęcia, które zrobiłam tamtej nocy. Na jednym z nich trzymam czerwony kubek i specjalnie robię zeza. Dlaczego nie mogłam się uśmiechnąć normalnie, chociaż raz? Przesłałam jej zdjęcia i zrzuty ekranu – nie-

świadoma, że wszystkie zostaną uznane za dowody w sprawie. Zachęcała, bym zadawała pytania. Według zapisu w protokole powiedziałam: „Noo, twierdzą, że coś mi się stało. Nie rozumiem, co to znaczy. Nadal napra... naprawdę nie rozumiem, co to znaczy”.

Policjantka powiedziała, że nie otrzymała jeszcze pełnego raportu. Że znalazło mnie dwóch studentów Stanfordu, i tylko tyle. Zapytałam więc, dlaczego mężczyzna uciekał. Ona na to, że coś go przstraszyło. Próbowalam podejść do miejsca zajścia, w stronę policyjnych samochodów i żółtej taśmy. Ale kiedy tylko się zbliżałam, policjantka zamknęła mi drogę. Zrobiłam krok w prawo; odsunęła się. Wyciągnęłam szyję, próbowałam zobaczyć, co przede mną ukrywano, lecz nadaremnie; cały teren zamknięto. Nie pozwalano mi przekroczyć jakiegś niewidzialnej granicy.

Oto co rozumiałam. Atmosfera zmieniała się w każdym pomieszczeniu, do którego wchodziłam. Ludzie pochmurnieli, mówili ciszej niż zwykle. Podchodzili do mnie z wahaniem, jakby starali się nie spłoszyć zwierzęcia. Szukali czegoś w mojej twarzy, a ja odpowiadałam pustym spojrzeniem. Wszyscy powtarzali, że są pod wrażeniem, jak świetnie się trzymam. Policjantka powiedziała:

– Muszę przyznać, że jest pani nad wyraz spokojna, bardzo... czy pani tak zawsze?

Pokiwałam głową, dodając, że trzymam emocje na wodzy, kiedy młodsza siostra jest ze mną.

Mimo to wszystkich zadziwił mój spokój; najwidoczniej w tych okolicznościach powinnam reagować w zupełnie inny sposób; niepokoiło mnie to.

Wyjaśniłam, że nie powiedziałam rodzicom.

– To zrozumiałe – odparła policjantka. – No, wie pani, chce pani im oszczędzić emocji, tak myślę... dopóki to możliwe... próbuje pani lepiej się zorientować, co się zdarzyło, co zaszło.

Zachowywała się nadzwyczaj uprzejmie i taktownie, ale gdy o coś pytałam, unikała odpowiedzi i zmieniała temat.

Zanim skończyła przesłuchanie, jasno powiedziałam, jak chcę załatwić sprawę:

1. Nikomu nie wolno rozmawiać z rodzicami, zanim nie zrozumiem, co się stało;

2. Nie chciałam nigdy widzieć tego mężczyzny ani w żaden sposób kontaktować się z nim, kimkolwiek jest.

Zaprowadzono mnie do poczekalni udekorowanej zakurzonymi trofeami, a Tiffany poszła na przesłuchanie. Policjantka zanotowała:

„Jeden z tych facetów, milczek, nigdy się nie odzywał. Colleen i Tiffany uznały, że jest dziwny, bo zachowywał się agresywnie. Tiffany powiedziała, że miał jakieś sto siedemdziesiąt pięć, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Włosy jasne, kręcone, oczy niebieskie, starannie ogolony. Nosił bejsbolówkę daszkiem do tyłu. Miał na sobie długie spodnie, nie szorty. Nie zapamiętała, jaką miał koszulę. Przypominał jej znajomego z uniwersytetu. Ten agresywny chłopak rozdawał wszystkim piwo. W pewnym momencie zbliżył się do Tiffany i cmoknął ją w policzek. Potem próbował pocałować w usta. Roześmiała się, zaszokowana. Colleen i Julia widziały, jak to się stało, też się śmiały. Facet odszedł. Niedługo później, kiedy Tiffany rozmawiała z Colleen, wrócił. Wszedł między nie, znowu próbował pocałować Tiffany. Złapał ją od przodu w tali i pocałował w usta. Powiedziała, że musi iść, i wyknęła się z jego objęć”.

Gdy przyjechałyśmy do domu, Tiffany weszła do środka, ja zostałam w samochodzie. Uświadomiłam sobie, że Lucas, mój chłopak, zastanawia się pewnie, dlaczego milczę przez cały dzień. Mieszkał w Filadelfii, spotykaliśmy się od kilku miesięcy. Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

– Martwiłem się o ciebie wczoraj wieczorem – powiedział. – Dotarłaś bezpiecznie do domu?

Nie miałam pojęcia, że do niego dzwoniłam. Przejrzałam połączenia w telefonie, znalazłam jego numer na długiej liście nieodebranych połączeń. Dzwoniłam koło północy, budząc go o trzeciej nad ranem jego czasu.

– Znalazałaś Tiffany? – zapytał. – Bałem się, że ockniesz się w krzakach czy coś w tym stylu.

Żołądek mi się ścisnął. Wiedział? Skąd mógł wiedzieć?

– Jak to? – zapytałam.

Odpowiedział, że pod koniec rozmowy już nie mówiłam wyraźnie, tylko bełkotałam bez ładu i składu. Za każdym razem, kiedy przestałam na chwilę, on krzyczał do telefonu, żebym poszukała Tiffany, ale nie odpowiadałam. Wiedział, że jestem sama i bezwładna. Poczulałam, że tonę.

– Zostawiłaś wiadomość.

– Nie kasuj jej – odpowiedziałam. – Przyrzeknij, że nie skasujesz, dobrze?

– Czy wszystko w porządku? Brzmisz smutno – powiedział.

Pokiwałam głową, jakby mógł to słyszeć.

– Jestem tylko senna – odpowiedziałam.

Weszłam do domu, wyłuskałam iPhone'a z ubłoconej obudowy, ale nie wyczyściłam jej. Zdjęłam dres, złożyłam go i wcisnęłam w najgłębszy kąt komody. Wsunęłam pomarańczową teczkę na półkę, włożywszy do niej szpitalną bransoletkę. Czułam dziwną potrzebę, by zachować wszystko, każdy drobiazg, który świadczył o tym, że ta alternatywna rzeczywistość istnieje.

Nazajutrz przypadał dzień Martina Luthera Kinga, ostatni dzień długiego weekendu. Zanim Tiff pojedzie z powrotem na uczelnię, chciałam pokazać jej, że nie powinnyśmy się odcinać ani dystansować, że powinnyśmy trzymać się z rodzicami. Zaproponowałam wyjście na wspólną kolację. Staliśmy w kolejce, czekając na stolik, nieopodal czerwonych papierowych dekoracji, miseczki z melonowymi cukierkami i akwarium pełnego naburmuszonych ryb. Zamówiliśmy kaczkę po pekińsku. Jak zawsze mama dokonała prezentacji, jak ją jeść: rozłożyć okrągły placuszek, posmarować go odrobiną śliwkowego sosu, dodać chrupiący kawałek purpurowego kaczego mięsa, trochę dymki, pokrojonego w patyczki ogórka, zawinąć wszystko razem. „Mama skręca blanty z kaczki. Mamo, mamo, patrz, kacze ziele”. Po kolacji siostra wyruszyła w ponad trzystukilometrową drogę powrotną na uczelnię, po równinach przez Gilroy, Salinas, King City aż do San Luis Obispo. Mówiła, że boi się zostawić mnie samą.

– Czemu? Nie świruj, nic mi nie będzie – odpowiedziałam.

Wówczas wszystko wydawało się proste: zamknęłam wspomnienie tamtego poranka w wielkim słoju. Potem ujęłam go i zniosłam po długich schodach w dół, przez wiele pięter, postawiłam w szafce i zamknęłam ją na klucz, a następnie wróciłam po tych samych schodach, by nadal wieść życie, które zbudowałam, życie, które nie miało nic wspólnego z tym facetem ani z tym, co kiedykolwiek mógł mi zrobić. Słój zniknął.

Nie wiedziałam, że o dwudziestej trzeciej poprzedniego wieczora tamten mężczyzna został zwolniony za kaucją w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Mniej niż dobie po tym, jak go aresztowano, znalazł się na wolności.

Wyznanie kobiety, która przez
ponad trzy lata walczyła w sądzie nie
tylko ze swoim gwałcicielem, ale także
z systemem chroniącym sprawcę,
a nie ofiarę.

Brocka Turnera nakryto na molestowaniu Chanel Miller na kampusie
Uniwersytetu. Był to przypadek na pozór jednoznaczny – naoczni
świadkowie, złapany sprawca, dowody fizyczne zabezpieczone.
Jednak Turnera skazano tylko na 6 miesięcy więzienia.

Historia Miller rzuca światło na kulturę nastawioną na ochronę sprawców,
oskarża system karny, który zawodzi najsłabszych. Jest też świadectwem
wielkiej odwagi, żeby przezwyciężyć wstyd i mówić o najtrudniejszych
doświadczeniach, a następnie pozbyć się etykiety ofiary.

Wyznanie, które Miller opublikowała w 2016 roku jako Emily Doe,
stało się wiralem – w ciągu 4 dni obejrzało je 11 milionów ludzi,
przetłumaczono je na wiele języków i odczytano w amerykańskim
Kongresie.

Nazywam się oddaje głos osobom, które doświadczyły gwałtu i mają prawo
o nim opowiadać własnym językiem, we własnym imieniu i z własnej
perspektywy. Nie zawsze zgodnej z tym, jak się je powszechnie postrzega.
Autorka pokazuje rzeczywistość ofiary gwałtu, która na każdym kroku
musi udowadniać nawet najbardziej podstawowe rzeczy, by jej uwierzono.
Że wcale się o to nie prosiła.

Ta książka zmienia sposób
myślenia o systemowej
przemocy wobec kobiet.

w sprzedaży także



**KUP
TERAZ!**

cena 44,90 zł
WYDAWNIWA FEMINO

